ROK XIV. LUTY Nr. 2

WIARĄ I CZYNEM

PRO CHRISTO

MIESIĘCZNIK MŁODYCH KATOLIKÓW

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI

CYT!...

Wyśniona miała jako cud
Zmartwychwstać w majestacie.
Miała przez morza przechodzić wbród,
nie ludzi łowić, ale cały lud,
i miała siedmiorgiem chleba — pamiętacie?
nakarmić mężów miliony,
Ona — „Chrystus narodów“, przemieniony
na górze Tabor: na Wawelu.

A z naszych ust — wielu, wielu —
miały paść słowa: „dobrze nam tu być!“ —
I mieliśmy zbudować trzy przybytki
dla trójcy zjednoczonych dzielnic.
I mieliśmy unieśmiertelnić
jeden naród w trzech osobach,
ażeby na wieki wieków żyć
i stary, ziemski glob, ach! uszczęśliwić,
jakby młodością Sulamitki,
płomieniem naszej wiary.

O sny! — O sny!...

. . . .

Dalekiej wiosny widzenia!
O tęsknoto Wyzwolenia
z mroźnych, lodowych kazamat
i krat, co więżą źródła żywej wody!
Ujrzały, ujrzały narody,
że przyjście wiosny to kałuże,
to zabagnienie wszystkich rzek,
to jeden, mętny ściek,
nad którym, gdzieś tam, w górze,
długo pracować musi słońce,
zanim zakwitnie kwiat na łące
i zanim zwolna błoto się zamieni
w szmaragd przeczystej zieleni.

O sny! — O sny!...

. . . .

Zawartej katedry wierzeje
miała otworzyć racławicka kosa,
może wyrobnik, może dziewka bosa,
skoro zadnieje —
i Konrad — Czyn, wyzwolony,
miał wybiec, wołając: „więzy rwij!“ —
i miał, jak w wielkie dzwony,
uderzyć w wielkie myśli wielkiemi sercami —
i cała Polska miała brzmieć
wszerz i wzwyż,
jako spiż,
iżeśmy Duchem niezawiśli,
że dom nasz zbudujemy sami,
radosny!

O sny!... O sny!...
dalekiej wiosny widzenia!

Wyrobnik? — kosa? —
Dziewka bosa? —
Serca? — Myśli? — Pałka! Kij! —
I tupot i wrzaski: „jedz i pij!“
I tupot i wrzaski: „rabuj! bierz!“ —
Sercem krwawem, myślą krwawą,
pięścią krwawą, żwawo, żwawo,
wzwyż i wszerz
rabuj, bierz —

O jawo! — O jawo! — O jawo! —

. . . .

A tam — w stallach — przy ołtarzu —
gdzie lampa wieczysta płonie —
tam kasztelanki w robronie —
infuły, delje, zbroje, czamary, sukmany —
tam przy sterze, tam za nawą,
jakby kwiaty w wirydarzu,
siedzi orszak malowany,
tęczą tysiącznych blasków lśni
i głuchy, i ślepy, twardo śpi —
o jawo!

Cyt!! —

. . . .

Ujrzały, ujrzały narody,
że pierwszy hejnał wiosennej swobody
to zgiełk, to huk, to trzask, to zgrzyt,
to lodów pękanie, to zatory, burze,
wylewy... nad któremi, gdzieś tam, gdzieś tam w górze,
długo pracować musi słońce
zanim się zbudzą dęby śpiące,
zanim nałożą zielne korony,
zanim rozwiną zielne sztandary,
i zanim psalm prastary płomienistej wiary
zaszumi od morza do morza!

TADEUSZ DWORAK

AKTYW NARODU.

Rozwój społeczeństwa narodowego w Polsce hamowała niewola; powstrzymywali ten proces zaborcy, ażeby łatwiej rządzić. To też teraz przemiany idą szybko; życie nie czeka, aż je zrozumieją i pogodzą się z niem ci, którym ono niesie zubożenie, zdeklasowanie, czy wręcz zagładę. Tak zresztą zawsze bywało. Ludzie mają taką naturę, że im jeszcze mieni się w oczach, chociaż już światło zgasło. Posługujemy się wciąż opinjami, przekonaniami społecznymi, chociaż narosły nowe siły społeczne i wytworzyły się stosunki do dawnych niebardzo podobne.

Wielu oświeconych w Polsce ludzi nie wie, jakie mamy społeczeństwo i jakie w tym społeczeństwie zachodzą przeistoczenia. Jedni, gdyby ich o to zapytać, szukaliby u nas jakiegoś podziału na stany sprzed stulecia. Inni poprostu powiadają, że w miastach mamy inteligencję i robotnika, a na wsi ziemiaństwo i lud. Inni wreszcie, a tych jest bodaj najwięcej, myślą tak, jak ich nauczyli socjaliści, że społeczeństwo dzieli się na dwie główne klasy: „posiadającą“ i „pracującą”.

Żaden z tych „podziałów“ nie jest całkowicie absurdalny, są one jednak albo powierzchowne, albo jednostronne, i dlatego nie wystarczają do zrozumienia naszego życia społecznego i do wyciągnięcia wniosków praktycznych.

Te zagadnienia rozświetla w olbrzymim stopniu historia, ale wywody historyków, zwłaszcza ich ogólne komentarze do faktów wtedy dopiero zaczynają powszechnie przekonywać, kiedy dotyczą dawniejszej przeszłości.

Pomyśli ktoś, że mamy socjologię, która może wiele powiedzieć o współczesnym społeczeństwie. Może, ale nie powie, bo ta nauka jak dotąd, jest źle postawiona. Jej starsi profesorowie kierują młodych adeptów na drogę „fenomenologii“, każą im żmudnie badać mało ważne „przejawy“ życia społecznego,

nie licząc się z tym, że zanim ten „naukowo" gromadzony materiał urośnie do jakieś syntezy, będą mijać lata i przyjdzie nowe życie, zamieniając tysiączne „ankiety", „testy", i „obserwacje" w stosy makulatury.

Na to czekać nie mogą ci, którzy albo są tak związani z życiem społecznym, albo mają takie siły i ambicje, że chcą wiedzieć, jak zachować się wobec dążności społecznych w Polsce i jak pokierować tymi dążnościami, aby wytworzył się u nas zdrowy i mocny naród.

Można badać społeczeństwo w jego „strukturalnym" przekroju, t. zn. dać opis jego stosunków, zachodzących w pewnym momencie. Jednak metoda opisania jakiejś statycznej struktury społecznej nie może wystarczyć (chyba, że się zajmie stanowisko determinizmu według klasycznej formuły Kanta — Laplace'a) — tak, jak do poznania organizmu zwierzęcia nie wystarczy anatomia, trzeba jeszcze znać fizjologię, ba! całą ewolucję gatunku. Związki strukturalne niosą w sobie napięcia kierunkowe i bez tego nie można ich zrozumieć. Obraz „budowy" społecznej to nieco sztuczny abstrakcyjny przekrój fali życia, przekrój ciągle zmieniającego się nurtu historii. Każdy moment życia społecznego w każdej jednostce ludzkiej niesie w sobie jakiś kierunkowy ładunek energii życiowej, przetwarzającej rzeczywistość. Sumy tych ładunków stanowią tendencje społeczne, które należy badać w określonej grupie socjalnej na tle jej historii.

To będzie postawa najbliższa rzeczywistości, która jest dynamiczna. W ten sposób można poznać te żywioły i te „wysokie kultury", które stanowią siłę biologiczną i cywilizacyjną narodu. [1])

Zdaję sobie sprawę że objęcie tak szerokiego zakresu przedmiotu w artykule publicystycznym jest mocno ryzykowne dla treści wywodów, ich sprecyzowania i uzasadnienia. Niemniej jednak są powody, dla których rzucam szkic całokształtu sprawy.

---

[1]) Autor prosi, żeby się z nim nie kłócić, czy trafnie używa terminów takich, jak: naród, społeczeństwo, cywilizacja, kultura i t. p., tylko zwrócić uwagę na zagadnienia, o których pisze.

Przeciętny wyznawca poglądu narodowego w Polsce wie, że nacjonalizm nasz jest ruchem ogólno polskim, wszechstanowym, międzyklasowym, i że interesy klasowe winny być podporządkowane interesom całego narodu. Wie również, że główne zadania, którym muszą dziś służyć wszystkie siły polskiego społeczeństwa — nie są społeczne, ale, jak to się mówi — polityczne, a więc kwestia żydowska, organizacja państwa, polityka gospodarcza, zbrojenia.

Ale nie każdemu wiadomo, że z tymi dążeniami politycznymi krzyżują się dążenia ściśle społeczne i trzeba dobrze pomyśleć, co robić, aby jedne drugim pomagały, a nie przeszkadzały.

Tworzy się stan średni, a więc zmienia się budowa społeczna; jednocześnie, już siłą tego faktu zmniejszają się kapitały Żydów i ich wpływy w państwie, co ma wielkie znaczenie polityczne. [2])

Ta zasadnicza potrzeba kojarzenia dążeń politycznych ze społecznymi jest dziś w Polsce sprawą niezwykle ważną, bo musimy szybko odrabiać zaległości tak w budowie społecznej, jak i w życiu politycznym narodu. I nie można dopuścić, aby jedni robili jedno, a drudzy drugie — bez porozumienia i współpracy, bo nie wystarczy nam ludzi na wszystko.

Ta potrzeba podyktowała mi niniejszy artykuł. Pragnę zainteresować umysły całością sprawy i dlatego kreślę szkic ogólny.

Trudność utworzenia rządu w Polsce po odzyskaniu państwa ma, oczywiście, różne przyczyny [3]); pisano o nich i mówiono wiele i słusznie, bo w polityce mówi się o tych przeszkodach, które przedewszystkim można i trzeba usuwać. Niemniej jednak główna przyczyna tego, że dotąd nie mogliśmy wytwo-

---

[2]) Każdy fakt społeczny ma znaczenie polityczne i naodwrót, każdy ważny fakt polityczny wytwarza jakieś skutki społeczne. Tu chodzi jednak o to, aby te korelacje były przewidziane i pokierowane przez przywódców politycznych w sposób racjonalny, t. zn. by nie niszczyły się w nich siły ludzkie, tylko wzmacniały.

[3]) Wolnomularstwo, Żydzi, błędy polityki zagranicznej, wady struktury.

rzyć rządu, stojącego na wysokości swych zadań — jest społeczna, polega na osłabieniu warstwy rządzącej jeszcze przed rozbiorami, a zniszczeniu jej w czasie niewoli i powstań. W kilku innych państwach na zachodzie Europy warstwa szlachecka (arystokracja rodowa) także w tym samym mniej więcej czasie została w dużym stopniu osłabiona i odsunięta od rządów. Ale tam wysunęła się na czoło inna warstwa; mieszczaństwo o wysokiej kulturze z dużymi tradycjami. Z tego mieszczaństwa rekrutuje się tam dziś przeważnie wojsko, biurokracja, zawody wolne — większość inteligencji „zawodowej", stanowiącej bądź co bądź społeczną podstawę rządów.

Utrzymaniem porządku moralnego zajmuje się przede wszystkim duchowieństwo i bez jego pomocy trudno byłoby się państwu obejść. Kościół jest jedną z podstawowych instytucyj kierowniczych i cywilizacyjnych w państwie [4]).

Kierowniczych — to znaczy, że utrzymuje ład, a cywilizacyjnych — to znaczy, że wychowuje ludzi.

Kler rekrutuje się ze wszelkich warstw. Na pochodzenie społeczne kandydata nie zwraca się w seminariach duchownych większej uwagi. Jest natomiast cały olbrzymi system wychowania, który polega na oczyszczeniu duszy młodego człowieka przez całkowitą niemal izolację od społeczeństwa, na rozwinięciu i uporządkowaniu pojęć i uczuć religijnych, na wyrobieniu moralnym, na wszczepieniu zasad dyscypliny hierarchicznej.

Ale obok systemu młody kler kształtują jeszcze dwa czynniki: skłonności i uzdolnienia alumnów i indywidualności profesorów i wychowawców. Te zaś czynniki zależą od charakteru narodowego i kultury społeczeństwa. Dlatego tak dobro Ko-

---

[4]) To są funkcje drugorzędne w posłannictwie Kościoła, służą mu tylko do wykonywania misji religijnej, ale w ziemskim porządku państwowym są to funkcje pierwszorzędnego znaczenia.

[5]) Na stopniu najwyższego bogactwa stan materialny nie sprzyja postępowi kultury, stąd degeneracja bogatych rodów. Ale na stopniu biedy jest odwrotnie; tutaj niedostatek, degeneruje człowieka. To też głównym warunkiem wzrostu kultury wsi jest wzrost jej zamożności; wszystko inne to tylko półśrodki.

ścioła, jak i interes państwa wymaga, ażeby masy ludowe, z których głównie rekrutują się księża, podniosły jaknajszybciej swoją kulturę. [5])

Bardzo podobnie przedstawia się ta sprawa w wojsku. Izolacja, wyrobienie cnót żołnierskich, karność. Racjonalny system wychowawczy, przetwarzający w znacznym stopniu człowieka. Ale przy tym samym dobrym systemie lepsza jest ta armia, do której wstępuje lepszy materiał ludzki. A ten materiał wytwarza społeczeństwo i decyduje tutaj psychofizyczna tężyzna narodu i kultura jego młodych pokoleń.

Właściwą jednak kadrę rządzącą stanowi biurokracja państwowa. Tutaj nie ma tak integralnego systemu wychowawczego, któryby od biedy regulował pogarszającą się wartość społecznego źródła biurokracii. Sytuacja materialna urzędnika, kryteria awansu, ideologia, jaką kieruje się państwo — to wszystko ma znaczny wpływ na jego zdolności fachowe i sumienność w pracy. Jednakże stan urzędniczy ma silny związek z resztą społeczeństwa i jest taki (bez mocnej korektury systemu wychowawczego i daleko idącej dyscypliny instytucji), jakiem jest całe społeczeństwo.

Wszystkie zaś zawody wolne, cała rzesza inteligencji, niezatrudniona w urzędach państwowych [6]), a stojąca przeważnie na czele organizacyj społecznych, związków samorządowych — zależy już bezpośrednio i całkowicie od przeszłości narodu, ba, stanowi w przeważnej mierze jego kulturę.

Ta inteligencja wytwarza życie umysłowe i przewodzi zazwyczaj dążeniom tak do reform społecznych, jak i zmian politycznych.

Atoli cały powyższy podział, jakkolwiek odrazu rzuca się w oczy, jest nieco powierzchowny i służy tylko do wprowadze-

---

[6]) Adwokaci, lekarze, technicy, artyści, literaci, wybitniejsi rzemieślnicy, kupcy, przemysłowcy, zamożniejsi przeważnie rolnicy i t. d.

[7]) Tematem wywodów nie jest zobrazowanie całej struktury społecznej. Chcę tylko poruszyć zagadnienie warstwy społecznej naczelnej, przodującej, z której wyłania się większość „aktywu" narodu, czyli t. zw. elity politycznej.

nia czytelnika w hierarchię społeczną mniej widoczną, lecz głębszą, opartą na innych zasadach [7]).

Oto bodaj najważniejsze czynniki, które łączą jednostki w warstwy, t. j. trwałe zespoły społeczne, a różnią i rozgraniczają w życiu te zespoły od siebie:

1. Związek krwi, pochodzenie od wspólnych przodków (zwłaszcza z małżeństw, gdzie nie było jaskrawego mezaliansu). Tradycja rodowa.

2. Przynależność klasowa. Podobieństwo sposobów zarobkowania, wysokości dochodów i gospodarczego poziomu życia, zwykle połączone z sąsiedztwem zamieszkiwania, jak np. u rolników, lub ze wspólnym miejscem pracy, jak u robotników fabrycznych, a zawsze związane z potrzebą wspólnej obrony doraźnych interesów materialnych.

3. Względnie wysoki stopień wykształcenia, zazwyczaj dyplomowanego. (Analfabeci np. nie wykazują skłonności do łączenia się w grupę społeczną na podstawie swego poziomu oświaty).

4. Przekonania polityczne.

5. Religia.

6. Wspólna szkoła, służba wojskowa, przeszłość kombatancka i t. p.

Obecnie, gdy przechodzimy poważne przemiany społeczne, nie obywające się bez wstrząśnień, czynniki te występują w najrozmaitszych kombinacjach, krzyżując się wzajemnie. Ponad wszystko jednak wybija się więź narodowa, na którą składa się najogólniejsze poczucie wspólnego pochodzenia i wspólnej historii, połączone z najogólniejszymi wspólnymi przekonaniami politycznymi (niepodległość, walka z Żydami), oraz druga więź, religijna, (chrystianizm, głównie zaś wyznanie rzymsko-katolickie).

Gdybyśmy mogli zbadać każdego Polaka osobno, okazałoby się zapewne, że wśród znacznej większości społeczeństwa jednostki w swym osobistym życiu kierują się naogół raczej innymi motywami, niż względy narodowe i religijne, co widać choćby w tym, że mają skłonność łączyć się na podstawie innych motywów.

Mimo to tamte motywy są dominujące, bo są najpowszechniejsze. To raz. Powtóre więź narodowa i religijna dlatego dominują nad innymi łącznikami społecznymi, że mają najlepszą opinię, masy polskie mimo wszystko w świętym i bohaterze narodowym widzą ideał człowieka. Potrzecie — ci nieliczni Polacy, którzy w swym osobistym życiu kierują się naprawdę przedewszystkim względami narodowymi i religijnymi, stanowią zazwyczaj elitę wybitnie kulturalną, dzięki czemu ich postawa społeczna promieniuje szeroko.

Dawniej zwierzchniczą warstwą społeczną, wyłaniającą z siebie włodarzy państwa, była arystokracja rodowa, żyjąca w najwyższym dobrobycie i obwarowana przywilejami społecznymi (pracowali na nią poddani). W tej warstwie już od dziecka kultywowano cnoty władcy. Ona wytworzyła nawet niejako wyższą rasę ludzi, tak pod względem urody fizycznej, jak i uzdolnień twórczych. To też ta warstwa nie tylko obsadzała swymi ludźmi większość najwyższych stanowisk w państwie i w hierarchi kościelnej, ale i wydawała wybitnych wojskowych, mężów stanu, literatów i artystów, a także i świętych.

Wiele przyczyn złożyło się na to, że ta warstwa, nietylko zresztą u nas, przeważnie zwyrodniała, straciła wiele ze swej zamożności, swego znaczenia politycznego i kulturalnego. Na to miejsce pojawiła się nowa warstwa kierownicza: trust-man, akcjonariusz anonimowego kapitału, jego komiwojażer i biurokrata. Jedni żyją z pracy proletariatu, inni z pieniędzy podatnika. Łączy ich wspólny interes kapitału bankowego, dyscyplina trustu i kartelu; jest także instytucja, która jednoczy tę warstwę rządzącą i utrzymuje ją w ścisłej, hierarchicznej karności. Tą instytucją jest wolnomularstwo.

W Polsce w połowie r. 1926 przybyła nowa kadra rządząca: legioniści I-j Brygady i młodsi częściowo od nich członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej. W grupę społeczno-polityczną łączy ich głównie więź klasowa (zajmowanie naczelnych stanowisk) i kombatancka, w mniejszym zaś stopniu jednoczą ich wspólne idee polityczne. Grupa tego rodzaju nie może się odradzać i trudno jej znaleźć sobie następców. [8])

W Polsce nastąpią jeszcze głębokie zmiany — nietylko ściśle polityczne, ale i społeczne. Nie odrodzi się już stara i nie wytworzy się nowa arystokracja szlachecka. Nie powstanie żadna podobnego typu warstwa zwierzchnicza, oparta na ekskluzywności rodowej i dziedzicznych przywilejach gospodarczych. Bo coraz mniej ludzi będzie chciało pracować na utrzymywanie takiej elity.

Arystokracja dawna mogła się bogacić z pokolenia na pokolenie. Stosunki były ustabilizowane, można było czekać na owoce powolnej eksploatacji. Dzisiejsza warstwa rządząca w większości państw Europy złożona z kapitalistów i biurokracji, prowadzi gospodarkę przeważnie rabunkową, bo jej stanowisko jest niepewne. [9])

Warstwy ludowe i robotnicze będą wykazywać coraz większą zdolność obrony swoich interesów, a coraz mniej ochoty do żywienia własnym kosztem tak subsydjowanej „arystokracji ducha“ [10]) jakoteż wielkiej machiny urzędniczej i oligarchii kapitalistyczno-przemysłowej.

Aktyw narodu, t. j. grupa rządząca wyłaniać się będzie z politycznej organizacji, której cementem będzie przede wszystkim więź narodowa, przekonania polityczne i religijno-moralne. W dyscyplinie tej organizacji wychowywać się będą ci, którzy przodują kulturze, uczą społeczeństwo, rządzą w państwie.

---

[8]) Próba zorganizowania epigonów I Brygady w szeregach „Legionu Młodych“ nie powiodła się i nie mogła się powieść choćby z tego prostego powodu, że syn legionisty nie jest legionistą. Próba o kilka lat późniejsza, Związek Młodej Polski, również nie cieszy się powodzeniem; za podstawę zjednoczenia przyjęto kompromis między zasadami b. „Legionu Młodych“ a zasadami polityki narodowej.

[9]) Stąd np. spekulacje giełdowe, fikcyjne bankructwa, wyzyskiwanie robotników, afery podatkowe, „łapówki“ w wyższych sferach urzędowych „pospolite” defraudacje urzędników i t. d.

[10]) Mowa o budowie „reprezentacyjnych“ budynków, ulic, o stawianiu „państwowych” pomników, o kosztownych wydawnictwach, portretach i t. p.

DEMOKRATOM NA DOBRANOC

Zamykając ogólną dyskusję o totalizmie, stwierdzamy:

1. W nauce Kościoła Katolickiego niema żadnych konkretnych wskazań, jaki w danym narodzie i w danym czasie trzeba urządzić ustrój gospodarczy lub jaką zaprowadzić formę rządów. Czystość doktryny religijno-moralnej i wierność duchowi Chrystusa Pana nakazuje katolikom odciąć się od wszelkich prób łączenia katolicyzmu, zwłaszcza w publicystyce i nomenklaturze partyjnej, z takimi pojęciami, jak liberalizm, monarchia, demokracja, totalizm i t. p.

2. Obecnie jednak w Polsce „front ludowy", który jest ośrodkiem dyspozycji całego ruchu „demokratycznego" — uderza nietylko w społeczeństwo polskie, ale i przygotowuje przewrót komunistyczny, co nie może być obojętne dla katolików.

3. Rozumna miłość ojczyzny, zgodna z duchem nauki Chrystusowej, nakazuje nam dążyć do takiego ustroju, któryby sprzyjał misji Kościoła i zapewniał narodowi polskiemu stanowisko panujące w jego ojczyźnie.

4. Termin „totalizm" może nasuwać niepokojące skojarzenia, których nie mieliśmy na myśli. Ojczyzną tego pojęcia jest faszystowska Italia, a genezy terminu należy szukać w słynnym przemówieniu Mussoliniego, zawierającym hasło: wszystko dla państwa, nic przeciw państwu, „Totalizm" nie jest terminem naukowym, tylko politycznym. Treść jego jest inna w Italii, inna w Niemczech, inna w Rosji Sowieckiej. A jeszcze co innego mają na myśli ci, co mówią o totaliźmie w Polsce.

Ludzie, którzy naprawdę wierzą w Boga i w Święty Kościół Powszechny, dążą, aby każdy człowiek całkowicie stał się duchowym członkiem Kościoła. Katolicyzm winien być ideologią rządzącą w państwie, tak w duszach jednostek, jak i w prawach publicznych. Sprawy kościelne i ściśle z nimi związane, nie będą u nas rozstrzygane przez parlament, jak to jest naprzykład w Anglii, lub przez referendum ludowe.

LUDOMIR SKÓREWICZ

»MATERIAŁ KLINICZNY« PROTESTUJE!

W obliczu spraw absorbujących masę ludzką, ta, o której będę mówił, nie jest (chociaż być powinna) — dla szerszego ogółu ani szczególnie istotną, ani zbyt ciekawą.

Dotyczy bowiem skromnej cząstki społeczeństwa chwilowo wyeliminowanej z nurtu normalnego życia — chorych. Ściśle zaś mówiąc tych z pośród nich, którzy korzystają z urządzeń i opieki zakładów leczniczych. Może właśnie dlatego temat, który rozwinę, niebył dotąd poruszany, że społeczeństwu zdrowych brakuje czasu na śledzenie losów tamtych skazanych na pobyt w szpitalu, czy na odwiedzanie ambulatorium. A może poprostu dlatego, że człowiek po powrocie do zdrowia zapomina o wszystkim, co było bolesne lub przykre. Tak chce naturalna kolej rzeczy.

Zadaniem moim jest naświetlić i zanalizować stosunek personelu zakładów leczniczych do psychiki chorego. Ściślej mówiąc do uczucia skromności i wstydu.

Niegdyś mówiło się o przykrym położeniu kobiety, zmuszonej do wyłącznego korzystania z opieki lekarza mężczyzny. Ja natomiast będą mówić o losie chorego mężczyzny, otoczonego w czasie choroby wyłącznie kobiecym personelem za wyjątkiem, rzecz prosta, większości lekarzy.

Podkreślam, że wśród tego personelu znajdują się często młode dziewczęta, uczennice szkół pielęgniarstwa, co naprzykład ma miejsce na męskim oddziale kliniki wewnętrznej szpitala Dz. Jezus w Warszawie.

Kobiety objęły we władanie sale szpitalne i operacyjne, pracownie rentgenologiczne i laboratoria, ambulatoria i poradnie. Stworzyły fakt dokonany, który uzasadnia się szeregiem argumentów: brak sił męskich, przydatność kobiety, jej taniość, jej powołanie.

Nie przeczę. Wszystko byłoby w porządku, gdyby swą codzienną postawą w pracy nie zlekceważyły one uczuć skromności i wstydliwości chorego. Gdyby nie zbagatelizowały tego, co właśnie bolało ich matki i babki. Kobietom nie przyszło na myśl, jak na ich bezceremonialną postawę reaguje chory mężczyzna, co przeżywa i czy jego przeżycia są wskazane choćby z punktu widzenia racjonalnego leczenia, nie mówiąc już o subtelności podejścia, mającej rzekomo przemawiać na rzecz kobiecej opieki. Na czasie jest hasło służby samarytańskiej, zrozumiałe na tle idei obronności państwa. Harcereczki, czy inne dziewczątka przechodzą jakieś tam kursa sanitarne, bandażują koleżankom nogi lub ręce, biegają z noszami i z dumą dźwigają apteczki. Jest to zdrowy kierunek wychowawczy, choć niewiele to ma wspólnego z rzeczywistością szpitala. Ale w takim ogólnym nastroju głos mój fałszywie zrozumiany spotkałby się niewątpliwie nietylko z protestem rozgorączkowanych społecznie pań lub mężczyzn nie nawykłych do głębszej analizy, ale nawet ludzi spokojnych i rozumnych.

Dlatego wyłączam z zasięgu rozważań okres wojny. Oczywista, że gdy mężczyzna oddaje życie na polu walki, kończą się zasady pokojowego życia i kobieta musi spełnić takie obowiązki jakie jej przypadną w udziale.

Wojna jest jednak wyjątkową chwilą.

Aby na jej wypadek przygotować kadrę przyszłych samarytanek, nie widzę konieczności stwarzania już dzisiaj takich warunków pracy w zakładach leczniczych, czy metod w szkołach pielęgniarskich, na których ujemne cechy pragnę zwrócić uwagę. Sądzę, że można rzetelnie zaprawić dziewczęta do przyszłej służby sanitarnej bez konieczności brutalnego stawiania ich już dzisiaj oko w oko z intymną sferą fizycznego życia mężczyzny, oszczędzając mu jednocześnie przeżyć przykrych i upokarzających.

Przypuszczam, że pielęgnowanie kobiet i dzieci jest wystarczającym terenem doświadczeń dla kandydatek na przyszłe pielęgniarki. A gdy w chwili wyjątkowej dla Narodu, lub już w toku pracy zawodowej będą one musiały uzupełnić swe prak-

tyczne wiadomości szczegółami, związanymi z odrębnością anatomo-fizjologiczną mężczyzny, nie przyjdzie im to z trudnością. Przypuszczam również, że będą umiały bez wstępnych oswajań pokonać problem podejścia do mężczyzny, skoro nim będzie ranny lub chory żołnierz, albo oddany pod opiekę pacjent.

Ograniczam więc temat do naszej codzienności czasów pokojowych.

Najważniejszą jest kwestia: czy poczucie wstydu u chorego jest czynnikiem dostatecznie poważnym, aby w jego imieniu kruszyć kopję. Twierdzę, że tak.

Człowiek dlatego tylko, że zachorował, nie zmienia przecież istoty swej psychiki. Pojęcia moralne i obyczajowe pozostają bez zmian. Wychowujemy się w dość wyraźnej atmosferze obyczajowej, która nakazuje szanować skromność drugiej płci. Mamy oddzielne rozbieralnie i kąpieliska. Cała organizacja życia społecznego nastawiona jest na respektowanie pewnych intymności anatomo-fizjologicznych. Dlatego w każdym z nas istnieje poczucie wstydu, a może specjalnie w mężczyznach. Oczywiście — będą jednostki wrażliwsze i mniej wrażliwe. W każdym jednak wypadku, lekceważenie czy gwałcenie uczucia skromności wywołać musi urazy, których siła zależna jest od wrażliwości chorego.

Jakżeż można wymagać, aby przeciętnie wrażliwy mężczyzna dlatego tylko, że znalazł się w klinice czy szpitalu, przestał nagle krępować się obcej kobiety i uznał za normalne, aby ona to właśnie wykonywała przy nim i na nim wszelkie, najintymniejsze zabiegi. Jak dalej można wymagać, aby z dnia na dzień przestały działać od dziecka wpajane zasady obyczajowe. Aby wreszcie „nieotrzaskany“ pacjent uwierzył w bezpłciowość pesonelu tylko dlatego, że nosi on białe czy popielate fartuchy.

Były by to wymagania tępe i gruboskórne.

Muszę dodać, że wszystko, co kwestionuję nie dotyczy ani bardzo ciężko chorych z reguły zobojętniałych, jak i mężczyzn, pozbawionych wrażliwości, a wreszcie i tych, którzy wyzbyli się wstydu.

Normalny jednak i wrażliwy mężczyzna napewno nie zweksluje z miejsca swych pojęć moralno obyczajowych na nowy tor tylko dlatego, że zachorował. To jest punkt wyjścia mych wywodów.

Dla zorjentowania czytelnika o ostrości przeżyć chorego przytaczam kilka autentycznych przykładów: nr 1— w szpitalu wojskowym skierowano żołnierza do pracowni rentgenologicznej celem prześwietlenia stawu biodrowego. Podczas zdjęć biodra są z reguły obnażone. W pracowni przyjmuje pacjenta młoda niewiasta może dwudziestoletnia. Po stwierdzeniu identyczności chorego mówi: —„Proszę rozebrać się“ — zakłopotany żołnierz ściąga z grzbietu koszulę, rozglądając się za kimś, który by go wybawił z przykrej sytuacji. Jakiś lekarz, sanitariusz, aby nie ta panna w białym fartuchu. —Niechże pan zdejmuje spodnie— niecierpliwi się kobieta i widząc, że zawstydzony żołnierz marudzi i zwleka, dodaje — „Prędzej panie, prędzej inni czekają“. — Pacjent uporał się wreszcie ze spodniami i z zamkniętymi ze wstydu oczyma poddaje się z rezygnacją losowi. Dla młodej kobiety był to zawodowy chleb powszedni, dla mężczyzny, nota bene inteligenta, ciężka przeprawa.

Nr 2 — Starszy wiekiem inżynier poddaje się leczeniu pęcherza na klinice. Pierwsze płukanie przeprowadza lekarz i pacjent ma doskonałe samopoczucie.

Po paru dniach rodzina odwiedza staruszka i zastaje go w stanie wstrząsu psychicznego.

Okazuje się, że chory przeżywa wielkie przykrości, gdyż następne zabiegi wykonuje na nim młoda asystentka ordynatora. Niestety, brak funduszów na prywatne leczenie zmusił starca do pozostania na klinice, narażając go jednocześnie na psychiczną reakcję przy każdym zabiegu.

Nr. 3 — Uczennica szkoły pielęgniarstwa otrzymuje polecenie zaaplikowania enemy rolnikowi w średnim wieku. Chory stawia opór, gdyż nie może pokonać wstydu. Targ w targ staje umowa, że część zabiegu chory dokona sam . W rezultacie nic się nie udaje, panna ma kłopot ze zmianą pościeli, chore-

go zaś ponoszą nerwy. A wszystko dlatego, że kierownictwu szkoły nie zaświtało w głowie, że młoda panienka może krępować mężczyznę, choćby występowała w najbardziej urzędowym mundurze.

Przykłady jakie przytoczyłem miały pobudzić wyobraźnię czytelnika. Aby bowiem docenić siłę przykrości i ostrość wrażenia, trzeba tę sytuację osobiście przeżyć.

W czym tkwi źródło metody, wychowującej pielęgniarski personel w kierunku lekceważenia i obrażania uczucia skromności chorego?

Sądzę, że w trzech czynnikach: 1-e *w nastawieniu lekarzy.* Lekarz jest wychowawcą personelu. Chory zaś czasem doświadczalnym królikiem, przeważnie zaś „klinicznym materiałem". Rzadziej — indywidualną psychiką. Lekarze, oswojeni z nagością i ze zrozumiałą bezpośredniością pracy w prosektorium, czy na klinice nie doceniają tych doznań chorego, które nie są wynikiem choroby, czy zabiegu. Bezceremonialność lekarzy udziela się pielęgniarkom z przekonania, bądź też staje się maską zawodową. Tkwi w tem niekonsekwencja.

Ciż sami bowiem lekarze, przywiązując wielką wagę do *morale* chorego, niedostrzegają jednocześnie urazów, na jakie naraża go obecna metoda pielęgnacji.

Dla lekarza płeć personelu jest rzeczą obojętną. Mówi z uśmiechem o swych pielęgniarkach, że są „otrzaskane".

Ale skąd ta pewność, że pielęgniarka dostrzega w każdym chorym mężczyźnie wyłącznie obiektywny przedmiot zabiegu? A może jednak jest inaczej, zależnie oczywiście od wrażliwości i pobudliwości kobiety? Ale to już jest luźna uwaga na boku.

Aby zmienić stosunek lekarzy do poruszonej przezemnie dziedziny trzeba dotrzeć do jednostek rzetelnych, rozumnych i wrażliwych i tam budzić refleksje. Przede wszystkim zaś do młodzieży akademickiej, skąd musi wyjść stanowcza inicjatywa zmian. 2. *W wychowaniu pielęgniarek.* Świeckie szkoły pielęgniarstwa wpajają swym uczennicom zasadę: płeć chorego nie ma znaczenia, do całokształtu zaś pielęgnacji powoła-

na jest wyłącznie pielęgniarka. I z gruntu sprawę stawia się fałszywie, naprzekór rzeczywistości.

Płeć ma choćby to znaczenie, że reakcja na osobnika tej samej płci jest różna od reakcji na osobnika drugiej płci. Pielęgniarka więc musi być świadoma tego, że chory mężczyzna reaguje na nią inaczej niż chora kobieta i z tym faktem musi się liczyć. Powinna więc być nauczona oszczędzania choremu przykrych wzruszeń, jakie może spowodować gruboskórna i mechaniczna interwencja w jego sferę indywidualności fizycznej lub też jej bagatelizowanie.

Nie jestem powołany do oceny, czy i w jakim stopniu przepisowo „oswajana " pielęgniarka, jest zabezpieczoną przed wpływami, wynikającymi z różnicy płci. Bronię jednak chorego i z tego tytułu uważam za lekkomyślność powierzanie chorych mężczyzn wyłącznie n.p. uczennicom szkół pielęgniarstwa, gdyż w takich warunkach chory w ogóle nie ma żadnej nadziei na uniknięcie chwil przykrych i upakarzających.

Co do samej psyche tych dziewcząt trudno się jest oprzeć wrażeniu, że przecież takie bezkompromisowe oswajanie z mężczyzną pozostawia jakieś ślady, coś bezpośrednio niszczy i coś modyfikuje.

Gdyby te dziewczęta po ukończeniu studiów poświęcały się z reguły zawodowi pielęgniarskiemu, to jeszcze ten system „oswajania" mógłby mieć rację bytu z pielęgniarskiego punktu widzenia. A ileż z nich traktuje szkołę jako studium, mądrze lub lekkomyślnie wybrane, wybierając później zupełnie inną drogę życia. Dlatego mniemam, że trzeba jednak rozdzielić studium od wykonywania zawodu. Że zatym w konsekwencji można owocnie i głęboko studiować pielęgniarstwo, bez konieczności otrzaskiwania się z mężczyzną w okresie, kiedy jeszcze ani zawód, ani właściwa droga życia nie zostały definitywnie obrane. Czyż kliniki kobiece i dziecięce są zbyt wąskim terenem praktyki pielęgniarstwa?

Ale to są uwagi na marginesie. Ze stanowiska chorego, domagam się, aby pielęgniarka, czy uczennica pamiętały o psychicznej indywidualności chorego, o jego swoistych reakcjach

i różnym stopniu wrażliwości. Bo mimo najszczerszych chęci panienek w mundurkach i czepeczkach, mężczyzna jest mężczyzną, nie zaś doświadczalnym szkolnym manekinem.

Muszę wreszcie podkreślić, jak ogromne znaczenie ma wiek kobiet otaczających chorego. Jego stosunek do poważniejszej wiekiem kobiety jest zupełnie inny, aniżeli do młodej dziewczyny.

I na to, proszę pań kierowniczek niema rady.

Dlatego akcentuję celowość następujących reform: po 1-e zmienić nastawienie pań w tym kiernuku, że chory mężczyzna ma odrębną płeć, będącą źródłem doznań i uczuć, które należy szanować. 2. Odsunąć młodzież od takich czynności przy chorym, które powszechnie lub indywidualnie budzą w nim wstyd. Nawet przy takim ograniczeniu pozostają dla studiujących ogromne dziedziny doświadczeń.

3. Zastąpić indyferentyzm pielęgniarki nakazem subtelnego podejścia do chorego. Wiele bowiem razy obserwowałem, jak pielęgniarki wykazywały zbędną i przesadną gruboskórność, lekceważąc objawy wstydu i zakłopotania u chorego. Jest w tym niekobiecość i, mówiąc szczerze, spora doza chamstwa.

Trzecie źródło obecnego stanu rzeczy tkwi w braku reakcji ze strony chorych i społeczeństwa. Jestem najgłębiej przekonany, że wielu mężczyzn czuje, jak ja. A jednak nie protestują, nie domagają się zmian, nie pamiętają tego, co się stało już tylko przykrym wspomnieniem. Jest to błąd. W ten sposób zawsze ktoś jeden będzie ponosił konsekwencje za bezwład drugich. Uważam więc za celowe, aby i inni zabrali głos, urabiając opinię.

Nie tak trudno będzie spowodować, zarówno reformę studiów pielęgniarskich, jak i zmiany warunków pracy w szpitalach i klinikach.

Czego się więc domagać? Reform zasadniczo skromnych. Chodzi o to, aby w każdym szpitalu, ambulatorium, zakładzie rentgenologicznym, czy innym urządzeniu leczniczym był zatrudniony wykwalifikowany mężczyzna, który by mógł spełnić przy chorych te zabiegi, jakie w kobiecym wykonaniu naruszają po-

ważnie uczucie skromności i wstydu. A dalej aby kooiecy personel wychowany był nie w atmosferze lekceważenia skromności, lecz przeciwnie, dążył do możliwie maksymalnego jej honorowania. Istnieje ku temu tyle sposobów i możliwości, że tylko dobra wola musi decydować. A wówczas wiele drastycznych zagadnień dałoby się kompromisowo rozwiązać, bez szkody dla interesów pracującej kobiety i ku zadowoleniu chorych.

Aby wreszcie lekarze pamiętali o żywym instrumencie psychicznym zawartym w ciele chorego i odpowiednio kierowali personelem.

Na zakończenie muszę wyjaśnić, dlaczego biorę w obronę mężczyznę. Wszak i chora kobieta może przeżywać przykre sensacje wobec lekarzy. Niewątpliwie. Ale różnica jest zasadnicza. Obecnie praktykuje duży zastęp lekarek. Teoretycznie więc istnieje wybór zależny od wolnej woli pacjentki. Że w praktyce kobieta zaufała mózgowi, czy ręce mężczyzny, to już jest zagadnienie jej wiary w wartość człowieka, pozytywny stosunek psychiczny, który siłą rzeczy uchyla negatywne refleksy. Kobieta a priori godzi się na opiekę mężczyzny i na związane z leczeniem zabiegi. Natomiast na szczeblu pielęgniarskim otoczoną jest przez personel tej samej płci. I to jest wielkim plusem jej pozycji. Identycznie zresztą ułożyć się może proces psychiczny i u mężczyzny. Oddając się pod opiekę kobiety lekarza z zaufaniem i z przekonania również a priori przyznaję jej indywidualne prawo wkraczania w sferę najintymniejszą fizyczną. Stosunek bowiem chorego do lekarza układa się na płaszczyźnie ufności w jego wiedzę, inteligencję, zdolności, doświadczenie i delikatność. Nabiera charakteru indywidualnego i intymnego. W takiej sytuacji człowiek z własnej woli obnaża swe dolegliwości fizyczne przed lekarzem podobnie, jak otwiera serce i duszę przed przyjacielem.

Natomiast stosunek do personelu pomocniczego kształtuje się na zupełnie innej płaszczyźnie psychicznej i to jest właśnie zasadnicza różnica. Zapewniam czytelnika, że te uwagi i myśli są wynikiem osobistych doświadczeń, oraz przeżyć ludzi, którym choroba kazała przejść przez izby szpitalne i sale zabie-

gowe. Zapewniam również, że nie mam ani uprzedzeń ani nastawień. Nie reprezentuję ani reakcji, ani postępu, lecz tylko człowieka i jego kłopoty. Przeżywałem szereg przykrych chwil, spowodowanych „otrzaskaniem się“ pielęgniarki z mężczyzną. Pragnę sobie na przyszłość i innym zaoszczędzić tych wzruszeń i podważyć słuszność zasady o bezpłciowości chorego.

Dlatego właśnie formułuję protest, dążąc do poprawienia obecnego stanu rzeczy.

Zdecydowałem się na rolę pioniera.

Wywód skończony. A jednak korci mnie, żeby skreślić jeszcze jedną uwagę. Zaobserwowałem bowiem, że w stosunku chorego do pielęgniarki świeckiej i siostry zakonnej zachodzi jakaś różnica. Poprostu zakonnica jest czynnikiem bardziej bezosobowym, mniej drażniącym, strawniejszym psychicznie. Zastanawiałem się nad tym zjawiskiem. Przecież w obu wypadkach występuje kobieta. Co więc powoduje tę różnicę? Czyżby tradycja, dzięki której obraz pielęgniarki w białym kornecie wrył się w naszą wyobraźnię? Czy szata poważniejsza, choć mniej praktyczna? Czy wreszcie jakieś znamię religijne, właściwe chrześcijanom? Nie. W grę zdaje się wchodzi zupełnie inny element, mianowicie świadomość faktu, że kobieta w białym kornecie wyrzekła się zwyczajnie normalnego życia kobiety. Że może wbrew nawet pragnieniom czy pokusom wyłączyła ze swego życia wszelką intymność uczuciową, czy fizyczną wobec mężczyzny. Jednym słowem, że możliwość przecięcia się jej życia z życiem mężczyzny w płaszczyźnie uczuciowo-seksualnej jest wykluczona.

Ta właśnie świadomość mniej lub bardziej uzmysłowiona wyrzeczenia się decyduje na korzyść siostry zakonnej. Wypływa z niej bowiem owo poczucie bezosobowości pielęgnującej, w konsekwencji zaś zmniejsza się wstyd, wywołany różnicą płci.

W świeckiej natomiast pielęgniarce widzi się normalnie żyjącą kobietę, nieskrępowaną w prywatnym życiu. Jest tu jakby analogja do nastawienia kobiety, szukającej rady u kapłana, w którego nieposzlakowany tryb życia wierzy.

Sądzę przecież, że nad poruszoną różnicą warto się jednak zastanowić, choćby nawet jednogłos lekarzy dyskwalifikował siostry zakonne. Bo przecież o nas tu chodzi, o chorych, o cierpiących. Nigdy zaś o interesy lekarzy, potrzeby szkół pielęgniarskich, czy nawet kobiet szukających pracy.

A jeśli tak, to kwalifikacje zawodowe zawsze można uzupełnić i ulepszyć. I to nie może być żadnym argumentem. Ale różnicy, wypływającej z duchowych źródeł niezatrze się, ani pogardliwym wzruszeniem ramion, ani najbardziej nawet rygorystyczną instrukcją szpitalną.

W tem właśnie jest cały sęk. Materjalna strona pielęgnacji chorego musi być podporządkowana pierwiastkowi duchowemu, psychicznemu.

MARIAN REUTT

Chiny uczą.

Artykuł niniejszy był drukowany w numerze czerwcowym w r. 1936 w „Pro Christo". Zamieszczamy powtórnie jego najważniejszy fragment, ze względu na aktualność, jakiej rzecz nabrała w obliczu wojny chińsko-japońskiej.

Redakcja

Istnieje w Azji państwo, które może stanowić niewyczerpany temat do feljetonów literackich dla ludzi utalentowanych, i nietylko do feljetonów, ba nawet do dużych powieści, które rozpoczyna się czytać z obawą i kończy z westchnieniem ulgi. Państwem tem są Chiny. Jeżeli o Sowietach można powiedzieć, że usiłują zrobić wbrew wszystkiemu socjalizm, to o Chinach przeciwnie należy powiedzieć, że tam robią i nawet zrobili liberalizm. Nie wyszło to im na dobre. Ekonomistę Chiny ciekawią z tego właśne powodu. Są przedewszystkiem królestwem liberalizmu. Ale to nie wszystko. Chiny do dziś stanowią królestwo drobnego warsztatu. Ilość sił mechanicznych w stosunku do ilości żywej pracy wyraża się tam sto-

sunkiem 1 :3 podczas gdy w U.S.A stosunek ten jest 40 : 1, w Niemczech 17 : 1, w Japonii i Italii 4 : 1. Widzimy więc, że dominującym czynnikiem wytwarzania jest w Chinach praca ludzka. Odpowiada temu określony typ organizacji gospodarstwa. Typem tym jest ustrój dekoncentracji.

I tutaj stajemy u źródeł niemocy Chin. Ogromny organizm polityczny zrunityzowany i konserwatywny, pozbawiony wszelkiej dynamiki, znajdował się właściwie w stadium zamierania. Zdekoncentrowany przemysł, zjadany przez wzajemną konkurencję, doprowadził do tego, że stopa życiowa i dochody przeciętnego wytwórcy nie zawsze wystarczały nawet do minimum egzystencji. Sprzedawano własne dzieci do lupanarów. To również nie wystarczało. Emigrowano. Oczywiście emigracja, przy stosowanych wobec chińczyków ograniczeń, nie wywierała głębszego wpływu na układ stosunków ludnościowych. Nędza rosła i stawała się normalnym stanem istnienia. Odbiło się to wszystko w sposób wręcz tragiczny na sprawach państwa. Administracja była zła. Urzędnicy, źle płatni, brali łapówki lub wręcz kradli. Dochody państwa były minimalne. Zresztą od milionów drobnych warsztacików nie sposób było zebrać podatku, ani ustanowić jakąś sensowną jego wysokość, ani tembardziej wyegzekwować należność z tytułu podatku. Drogi były marne. Pogłębiało to tylko wzajemną izolację i rozbicie społeczeństwa. W związku z tem rosły różnice między prowincjami, tak, że właściwie Chiny nie są dziś państwem jednolitem w sensie europejskim, ale luźnym związkiem 23 prowincyj różniących się między sobą językiem, stylem życia, obyczajami etc. To samo zjawisko występuje na mniejszą, rzecz jasna, skalę w obrębie każdej prowincji. W Chinach poszczególne wioski nawet żyją w całkowitem odosobnieniu. Głównym i jedynym zajęciem Chińczyka jest walka z nędzą i głodem. Rzemieślnik chiński nie ma czasu na zajmowanie się sprawami narodowymi, czy społecznemi. Cały jego wysiłek jest skierowany na zdobycie utrzymania. To też dzień pracy trwa tem dłużej, im drobniejszy jest warsztat. Dochód jest również tem mniejszy, im

mniejsza jest jednostka gospodarcza. Dekoncentracja pauperyzowała Chiny. Dlatego też dzisiaj wielkie fabryki w Chinach są własnością obcych: Anglików, Japończyków lub Amerykanów.

Dekoncentracja osłabiła Chiny politycznie i gospodarczo, stworzyła doskonałe warunki do inwazji obcego kapitału, wstrzymała rozwój techniczny etc. A pozatem fatalnie odbiła się na psychice obywatela chińskiego.

Ustrój dekoncentracji wywarł głęboki wpływ nawet na psychikę chińską. Nie był to wpływ najlepszy. Oderwał on Chińczyka od narodu, a zamknął w kole rodziny i w ciasnym kręgu interesów materialnych. Chińczyk stał się obojętnym na nędzę ludzką i na cierpienie. „W Chinach — pisze prof. Bouthoul — ukształtował się specjalny typ moralności, moralności mrowiskowej, można powiedzieć, według której każdy musi zajmować się wyłącznie własnemi zadaniami w sferze, w której żyje, strzegąc się, jako wielkiej niewłaściwości, wszelkiego wykraczania poza to. Moralność ściśle rodzinna: każdy uprawia swoje pole, użyźnia je własnemi odchodami, grzebie tam zmarłych i nie widzi nic poza tem życiem. Znamy te obrazki z życia chińskiego, ludzi umierających z głodu na ulicy i przechodniów mijających ich absolutnie obojętnie. W r. 1932 policja w Szanghaju zebrała 36.800 trupów porzuconych w ten sposób na ulicach miasta."

Twardy jest człowiek małego warsztatu. Odwykł od pracy w dużym zespole. Stracił łączność z większą grupą ludzi ze społeczeństwem, a nawet z narodem. W Chinach jest rasa, narodu niema. W Chinach jest człowiek, który chce zarobić, nie ma ludzi, którzy chcą się poświęcać. I dlatego w Chinach rośnie komunizm. Dekoncentracja prowadzi Chińczyka do materializmu, a odseparowanie i izolacja do wiązania się w kolektywy, żeby nie być samemu.

Preces zaś reakcji psychicznej antyliberalnej i antyidywidualistycznej we współczesnych Chinach idzie dziwnemi drogami. W ostatnich latach mianowicie na terenie gospodarczym występuje jako monopol grup zawodowych, organizo-

wany pod postacią tajnego związku, jak np. słynny monopol lakierników. Monopol ten ma cele wyraźnie gospodarcze, jest organizacją samorzutną, nie ma statutów, a rządzi się wyłącznie motywem gospodarczego wyzyskiwania swego uprzywilejowanego stanowiska. Lakierników nie należących do monopolu niema, a gdyby się taki znalazł natychmiast zostałby zasztyletowany. Otóż dekoncentracja doprowadziła Chiny do całego szeregu tajnych związków, przywódcy których (dziś przeważnie na usługach Moskwy) wchodzą w konszachty z różnymi generałami, biorą udział w intrygach i walkach domowych i dezorganizują Chiny.

Na terenie politycznym natomiast reakcja ta wygląda, jako olbrzymi wzrost wpływów komunistycznych. Właściciele małych i średnich gospodarstw rolnych lub warsztatów rzucają wszystko i wstępują w szeregi komunistycznej armii. Pędzi ich tam nędza i nieodłączna od dekoncentracji materializacja życia, spędzonego całkowicie przy warsztacie, bez ideałów, na które niema czasu.

I kiedy myślę o dekoncentracji przykład chiński nie daje mi spokoju: Chiny między Z.S.S.R. a Japonją — Polska między Z.S.S.R. a Niemcami. Chiny uczą...

Sprawy bieżące

Dnia 3 lutego Dyrektor Katolickiej Agencji Prasowej nadesłał do naszej redakcji następujące:

SPROSTOWANIE

Do Redakcji Miesięcznika Młodych Katolików
„PRO CHRISTO"
w Warszawie.

Na zasadzie obowiązujących przepisów prasowych prosimy o zamieszczenie w najbliższym zeszycie „Pro Christo" następującego oświadczenia:

1. Nieprawdą jest, iż wiadomości o „historycznej wizycie"

duchowieństwa włoskiego u Mussoliniego „Katolicka Agencja Prasowa nie podała“ (Pro Christo — 1938. N 1. str. 29)

2. Natomiast prawdą jest, że wiadomość tę zawiera komunikat K.A.P. z dnia 11 b. m. N. 8 63013 str. 3. p. t. „Mussolini o szczerej współpracy rządu z Kościołem Katolickim“.

podpisano (—) *Ks. Z. Kaczyński*
Dyrektor

Sprostowanie to spowodowane zostało przez nieodpowiadającą prawdzie informację wydrukowaną w poprzednim numerze „Pro Christo“ w tymże dziale „Sprawy Bieżące” na tym samym miejscu w notatce p. t. „Tak“ duchowieństwa włoskiego”. Inicjatywa podania informacji miała swój początek w niedopatrzeniu redakcji „Pro Christo”.

Przez umieszczenie powyższego sprostowania chętnie daję satysfakcję Katolickiej Agencji Prasowej.

Ks. Jerzy Pawski

„WYCIĄGNIĘTA RĘKA“ KOMUNISTÓW AMERYKAŃSKICH

Komuniści amerykańscy w ostatnich czasach poczęli rozpowszechniać wiadomość o tym, jakoby Papież miał zalecić katolikom by przyjęli „wyciągniętą rękę“ komunistów i przystąpili z nimi do współpracy. Organ komunistów „Daily Worker“ poszedł nawet tak daleko, że, wykorzystując Dzień Partyjny, zorganizowany niedawno przez francuskich komunistów w Arles, przeinaczył wskazania biskupów Francji.

Podczas wielkiego wiecu komunistycznego w Meksyku znany działacz wywrotowy, Angelo Urrutia, wystąpił z wielkim przemówieniem, wzywając katolików do przyłączenia się do partii komunistycznej, ponieważ Papież Pius XI „pod pewnymi warunkami“ przyjął „wyciągniętą rękę” komunistów Francji. Zapytany o to, jaki mianowicie dokument papieski zawiera powyższe oświadczenie Piusa XI i jakie to mianowicie są „pewne warunki“ nie potrafił dać odpowiedzi.

WSPÓLNICY ŚWIĘTOKRADZTWA

Odbył się niedawno w Kaliszu proces o znieważenie Hostii św. przez 21-letnią Anielę Bednarkównę, służącą u Żyda Moszka Łęczyckiego z Uniejowa. W związku z tą potworną sprawą Katolicka Agencja Prasowa rozesłała nam komunikat, w którym przypomina, że w motywach wyroku, skazującego Bednarkównę na 6 miesięcy więzienia, sąd podał jako okoliczność łagodzącą, iż oskarżona pozostawała przez 3 lata pod demoralizującym wpływem swoich prowodyrów-Żydów.

Dalej czytamy w komunikacie K. A. P .:

„Szczegóły tej sprawy pozwalają mniemać, iż pracodawcy Bednarczykówny nie tylko są moralnymi sprawcami jej zbrodni, ale również brali czynny udział w profanacji Hostii św.

Opinia katolicka jest zaniepokojona tym, iż dotąd nic nie wiadomo o pociągnięciu do odpowiedzialności karnej pracodawców ciemnej wiejskiej dziewczyny, chociaż chodzi o znieważenie największej Świętości Chrześcijaństwa. Wyrazem tego zaniepokojenia są listy nadsyłane do K. A. P. Dlatego sądzimy, iż wyjaśnienie tej smutnej sprawy przez odpowiednie czynniki urzędowe jest koniecznością“.

MIĘDZYNARODOWI HANDLARZE KRWIĄ

„Giornale d'Italia“, kontynując swe rewelacje na temat pomocy zagranicznej, udzielanej rządowi walenckiemu pisze, że transporty wojenne i ochotnicze idą nie tylko z Francji i Rosji ale i z in. państw. Typowym jest przykład Austrii, gdzie w końcu stycznia r. b. zwerbowano 40 ludzi do hiszpańskiej armii rządowej. Zostali oni jednak aresztowani. Inna partia ochotników austriackich została schwytana na granicy szwajcarskiej. Akcję werbunkową w Austrii prowadziła niejaka Melania Ernst, Żydówka komunistka, którą aresztowano w Davos. Pomocnikiem jej był niejaki Izaak Szob, którego również aresztowano.

W Jugosławii przeprowadzono werbunek głównie wśród emigrantów politycznych, pochodzących z włoskich prowincyj pogranicznych. Ochotników tych ładowano na okręty w Splicie. Z kolei dziennik ogłasza dane o transportach ludzi i ma-

teriałów, idących z Norwegii, Belgii, Anglii, St. Zjedn., Grecji i Czechosłowacji. W końcu grudnia ub. r. znajdowało się, zdaniem „Giornale d'Italia", po stronie rządu walenckiego 5500 ochotników z Czechosłowacji, z czego 1000 specjalistów. Ochotnicy ci należeli do dwóch batalionów, z których jeden nosi imię Ziżki, a drugi imię Masaryka. Ponadto fabryka Skody dostarcza stale materiału wojennego rządowi Hiszpanii. Wpierwszych dniach stycznia znajdowało się na hiszpańskim lotnisku w Sabadel 40 aparatów pościgowych, przybyłych bezpośrednio z Czechosłowacji.

Warto jeszcze raz przeczytać

WAŻNYM GŁOSEM W DYSKUSJI o totaliźmie, otwierającym niewątpliwie wielu w Polsce oczy na stosunek Kościoła do współczesnych tendencyj ustrojowych, jest list O. J. M. Bocheńskiego, zamieszczony w „Prosto z Mostu",

Autor jest dominikaninem i profesorem papieskiego uniwersytetu „Angelicum" w Rzymie. List jego, który poniżej przytaczamy, jest niezawodnie zgodny z przekonaniami najwyższej zwierzchności Kościoła.

Rzym, Angelicum, w styczniu 1938 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Muszę niestety zwrócić się do Sz. Pana z prośbą o wybaczenie mi niesłowności: dłuższego artykułu w sprawie totalizmu i liberalizmu nie mogę dostarczyć, przynajmniej obecnie. Rzecz jest wprawdzie naszkicowana, ale już po ukończeniu jej nasunęły się obawy, czy takie proste teologiczne ujęcie tej sprawy nie wywoła nieporozumień i nie da powodu do komentarzy najbardziej sprzecznych z intencjami moimi i z nauką teologii katolickiej, wciągając mnie w długą polemikę, na którą nie mam ani czasu, ani ochoty.

Można by wprawdzie rzecz przerobić, znaleźć inne, bardziej dla polskiej publiczności zrozumiałe sformułowania. Niestety, obecnie mnie na to nie stać w ciągu roku akademickiego.

Nie chciałbym jednak mimo wszystko pominąć sposobności do naszkicowania mojego zasadniczego stanowiska w tej sprawie, więc choćby w zarysie przedstawię je tutaj.

O co chodzi właściwie? „Prosto z mostu“, energicznie poparte przez „Pro Christo“ postawiło tezę, że choć totalizm nie-katolicki jest potępienia godny, totalizm katolicki wydaje się systemem możliwym do przyjęcia dla wierzących, a nawet pożądanym. Natomiast niektórzy inni publicyści katoliccy bardzo stanowczo sprzeciwili się tej tezie, dowodząc, że katolik żadnego totalizmu uznawać nie może. Co więcej, niektórzy z nich poddali dość ostrej krytyce katolicki pogląd na te sprawy, wypowiadając się za liberalizmem; inaczej przynajmniej nazwać nie umiem przeczenia dopuszczalności przymusu w sprawie propagandy światopoglądów, nie tylko — co byłoby słuszne — pod względem pozytywnym („nie wolno nikogo siłą nawracać“), ale także pod względem negatywnym („nie wolno nikomu siłą przeszkadzać w szerzeniu jakiegokolwiek światopoglądu“).

Otóż sprawa dla teologa nie jest trudna, pod warunkiem, by dokładnie powiedziano, co się przez „totalizm“ rozumie. Oczywiście. że jeśli ktoś „totalizmem“ nazywa system, w którym państwu wolno wszystko, gdzie państwo tworzy etykę, reguluje wszystkie dziedziny życia, nie wyłączając religii, gdzie wkracza do zakresu ściśle rodzinnego i osobistego, temu ze stanowiska katolickiego totalizmu uznawać nie wolno a tym bardziej nie wolno mu mówić o „totalizmie katolickim“, bo ten zwrot będzie współoznaczał cechy sprzeczne.

Nie wydaje mi się jednak, by „totalizm“ na łamach pańskiego znakomitego pisma miał ten sens. O ile rozumiem, chodziło tu o teorię, według której państwo ma prawo — w porozumieniu z Kościołem i nie naruszając w niczym jego praw, a także z zastrzeżeniem tego, co należne jednostce i rodzinie — regulować wszystkie dziedziny życia społecznego. Chodziło Panu o ustrój, w którym państwo nie jest biernym widzem walki światopoglądów, ale samo światopogląd katolicki wyznaje i stara się, wszystkimi zgodnymi z etyką środkami, ten światopogląd popierać.

Otóż jeśli tak jest, muszę stwierdzić dwie rzeczy: najpierw, że słowo „totalizm“ zostało tutaj dość nieszczęśliwie użyte; trzebaby mówić o „totalizmie umiarkowanym“, albo „ograniczonym“, a to jest oczywiście nonsens. Dla uniknięcia nieporozumień proponowałbym Panu zatem usunięcie tego słowa z Jego terminologii. Poco upierać się przy słowach? Nie o nie chodzi, ale o treść. — Powtóre, jeśli Pan przez „totalizm“ rozumie to co powyżej określiłem, muszę stwierdzić, że teologicznie jest Pan najzupełniej w porządku. Nie tylko pisarze stawiający Panu zarzut heterodoksji mylą się, ale i sami zwolennicy neoliberalizmu, ci, którzy przeczą dopuszczalności państwa bez zastrzeżeń i wyłącznie katolickiego oraz potrzebie jego pomocy dla Kościoła, słowem wielu z tych, którzy Pana atakują, naraża się na bardzo poważne zarzuty o nieprawomyślność. Sądzę np. że wy-

starczyłoby mi przekazać pewne niedawno w Polsce ogłoszone artykuły o tej sprawie do św. Officium, a bardzo prędko okazałby się pożądany, albo raczej zgoła niepożądany skutek.

Nie interesuje mnie polityczna strona zagadnienia, mianowicie jaki ustrój jest w danej chwili w danym państwie najlepszy itp. Na tym nie znam się zupełnie. Dyskusja toczy się jednak około zasad, więc w moim zakresie; a zasady są takie, jak powiedziałem. Głosił je Kościół co najmniej od czasów św. Augustyna do Piusa IX, głosi je jeszcze dzisiaj. Twierdzić, że nauka całej tradycji Kościoła jest pod tym względem „wielkim błędem", że jego praktyka była jedną kolosalną pomyłką, katolikowi nie wolno. I jeśli dzisiaj Kościół potępia totalizm, to nie znaczy wcale by miał uznawać neoliberalizm — a przykre doświadczenie katolików francuskich, o których Pan niedawno słusznie wspominał w „Prosto z mostu", powinny być dla nas pod tym względem przestrogą.

Wreszcie jeszcze jedno. Teologizujący neo-liberałowie wielce zajmują się obecnie sprawą dopuszczalności wojny i rewolucji; zajmują się naogół źle, bez dostatecznej znajomości źródeł, literatury i stanu zagadnienia w literaturze współczesnej. Nie mogę wchodzić tutaj w szczegóły — zwracam więc tylko raz jeszcze uwagę na Francję, i na liczne ostatnio orędzia biskupów całego niemal świata w sprawie hiszpańskiej. A jeśli nasi neo-liberałowie posuwają się czasem, aż do podawania w wątpliwość czy Polska miała prawo bronić chrześcijaństwa przeciw Tatarom, Turkom i Bolszewikom, jeśli uprawiają dzisiaj jeszcze defetyzm i rozbrajają nasz naród moralnie, to... wolę nic nie mówić na ten temat, przekonany, że chodziło tylko o brzydki *lapsus calami,* którego wstydzą się obecnie i jako katolicy i jako Polacy. W każdym razie, gdyby choć trochę znali teologię, wstydzić się powinni.

Cały neo-liberalizm teologiczny w Polsce wydaje mi się skutkiem zbytniego ulegania pewnym kierunkom myśli francuskiej. Wiem z doświadczenia, że wielu liberalizujących katolików francuskich nie rozumie zupełnie spraw dla nas całkiem oczywistych, idei obrony chrześcijaństwa itp. Bronić się musimy, rzecz jasna, przed zalewem hitleryzmu; ale baczyć też trzeba, byśmy nie popadli w zależność ideową od obcej nam pod wieloma względami myśli liberalnej francuskiej.

Chciałbym więc przestrzec naszych polskich neo-liberałów przed losem, który spotkał ich kolegów Francuzów. Główny organ tej grupy został zawieszony i zdaje się z polecenia Stolicy Apostolskiej. Teraz inne jej pismo naraziło się na bardzo ostry artykuł O. Mariana Cordovani, O. P. Magistra Świętego Pałacu Apostolskiego, tj. teologa papieskiego i jednej z wybitniejszych osobistości w rzymskiej kurii.

O. Cordovani ogłosił na pierwszej stronie „Osserwatore Romano“ bardzo surowy artykuł na ten temat i podpisał pełnym tytułem urzędowym. My, którzy mieszkamy w Rzymie, wiemy co to znaczy: półoficjalne potępienie. A chodziło o sprawy bardzo blisko stojące tutaj omawianych, o potępianie przeszłości Kościoła i hasła liberalne. O. Cordovani używa zwrotu „neo-liberalizm“. To brzmi groźnie: *Roma locuta,* trzeba jaknajprędzej wycofać się ze zbyt radykalnych stanowisk aby i nas w Polsce coś podobnego nie spotkało.

Wiem z przykrego doświadczenia, że Francuzi całkiem inaczej reagują na te same wartości niż my. Tak np. wspaniała mowa naszego Ks. Prymasa przy wręczaniu buławy Marszałkowi Rydzowi Śmigłemu, mowa wyrażająca lepiej niż jakakolwiek inna to, co wszyscy Polacy czują, przyjęta została przez moich znajomych księży francuskich z zupełnym niezrozumieniem i nawet oburzeniem. Można to wytłumaczyć sytuacją polityczno-religijną we Francji, gdzie katolicy są w mniejszości, potężnym wpływem Wielkiej Rewolucji. zawsze jeszcze żywym w tym kraju i może brakiem specyficznie bojowej misji obronnej ich kraju. U nas w Polsce te okoliczności nie zachodzą. Jesteśmy narodem w przytłaczającej większości katolickim, — wpływom Rewolucji nie ulegliśmy, Bogu dzięki, w tym stopniu co Francuzi a nasza historia jest ustawiczną walką o Kulturę i Wiarę. Jeśli przyjmujemy od nich neo-liberalizm, to ze względu na znany kompleks niższości. Trzeba się z tego otrząsnąć. Bo jeśli pójdziemy za katolikami francuskimi, (i to nie wszystkimi, ale ich liberalnym skrzydłem), musimy nie tylko narazić się na potępienie ze strony Kościoła, lecz także zaprzeć się naszej własnej wielkiej tradycji, tego co w naszej kulturze narodowej najbardziej istotne. Nie sądzę, by ktokolwiek z nas chciał iść aż do potępienia Chocimia, Cecory, Wiednia, Warszawy i tylu innych naszych czynów bojowych całego krwawego dorobku przeszłości.

Niech wolno mi więc będzie zakończyć te uwagi owym niezmiernie trafnym powiedzeniem Ks. Prymasa Hlonda: Polska posiada dość własnych bogactw duchowych, aby nie potrzebowała naśladować innych. Pan, Panie Redaktorze, o ile rozumiem, był zawsze obrońcą

Wszystkie tezy teologiczne tu wygłoszone uważam za pewne w znaczeniu naukowym, oczywiście z podporządkowaniem się ewentualnym orzeczeniom Kościoła. Na żądanie gotów jestem służyć dowodami.

Racz przyjąć Panie Redaktorze zapewnienia mojego prawdziwego szacunku i życzenia, by jego akcja obrony polskiej kultury rozwijała się jak najpomyślniej.

I. M. Bocheński O. P.

Z INNEJ STRONY OŚWIETLA TO SAMO ZAGADNIENIE artykuł Dra Mieczysława Niwińskiego, zamieszczony w czasopiśmie O.O. Jezuitów, „Sodalisa Marianusa".
Sodalis Marianus St. 1938 r.

Sprawa stosunku totalizmu do katolicyzmu zajmuje obecnie wiele umysłów w Polsce i za granicą. U nas toczyła się nawet polemika na powyższy temat między pismami katolickimi, z których jedne *(Pro Christo* i *Prosto z Mostu)* oświadczyły się za totalizmem, wiele innych zaś przeciw niemu. Należy więc tę sprawę poważnie i bezstronnie rozpatrzyć, aby doprowadzić tą drogą stopniowo do ustalenia opinii katolickiej w tej ważnej materii.

Totalizm jest, jak wiadomo, najbardziej nowoczesną odmianą systemu rządów absolutnych. Stanowi on reakcję przeciwko nadmiernym wybujałościom liberalizmu i demokracji w ostatnich czasach. Od innych dyktatur różni się głównie tym, że władza państwowa opiera się nie tylko na wojsku, policji i administracji, ale też na znacznej części społeczeństwa, zorganizowanej w jedno stronnictwo. Stronnictwo to posiada wyłączny monopol na działalność polityczną w państwie, obok niego żadna inna organizacja polityczna istnieć nie może. To uprzywilejowane stronnictwo podporządkowuje sobie także wszystkie dziedziny życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego, uzależnia od siebie wszystkie warstwy i grupy społeczne w państwie. Stąd pochodzi nazwa tego systemu, która wywodzi się od wyrazu łacińskiego *totus* — cały. Totalizm jest tedy dyktaturą partii, rządzonej po dyktatorsku przez jednego człowieka, którego zowią zazwyczaj wodzem *(il duce, Führer)*. Członków tej partii łączy nie tylko wspólny kult dla osoby wodza, lecz i wspólna ideologia. Ideologia ta musi być wyrazista, musi rzucać hasła wielkie, fascynujące, które by potrafiły przemówić do wyobraźni tłumów i porwać je za sobą. Są to z jednej strony hasła komunistyczne, z drugiej strony idea ekspansji narodowej połączona zazwyczaj z programem przebudowy społecznej. Stąd dwa zasadnicze typy ideologii totalistycznej: komunistyczny i nacjonalistyczny, ten ostatni o różnych odcieniach.

Jakiż jest teraz stosunek Kościoła do totalizmu? O ile chodzi o totalizm jako formę ustrojową, to Kościół zajmuje wobec niego stanowisko neutralne, podobnie jak wobec innych form rządu. Formy te są dziełem ludzkim i jako takie wszystkie mają dobre i złe strony. Wartość ich jest względna; ten ustrój będzie lepszy, który lepiej odpowiada potrzebom i właściwościom danego narodu w pewnym momencie historycznym. Jest to zresztą sprawa czysto polityczna, świecka, dlatego Kościół nie miesza się zasadniczo do walk ustrojowych, czy to będzie spór między monarchią a republiką, czy — jak

teraz — między demokracją a totalizmem, pozostawiając te zagadnienia do rozstrzygnięcia samym zainteresowanym społeczeństwom.

Natomiast Kościół nie pozostaje obojętnym wobec ideologii totalizmu w różnych jej odmianach. Zwalcza stanowczo doktrynę komunistyczną — to rzecz znana i nie wymaga bliższych wyjaśnień.

Bardziej skomplikowaną jest natomiast sprawa stosunku katolicyzmu do ideologii totalistycznej o zabarwieniu nacjonalistycznym. Wykazuje ona niewątpliwie wiele punktów stycznych i zgodnych z nauką katolicką, a więc sama idea miłości ojczyzny, dalej duch poświęcenia i ofiary, karności i dyscypliny społecznej, poszanowanie autorytetu władzy, troskliwość o tężyznę fizyczną i moralną narodu itd. Ale obok tych pozycyj zgodnych i sympatycznych od strony katolickiej napotykamy też na sprzeczności i to poważnej natury.

Naprzód mamy ideę wszechwładzy państwa, niesłychanie charakterystyczną i typową dla całej ideologii totalizmu wszelkich odmian. Idea to znana od dawna, totalizm jednak przybrał ją w nowe szaty i urzeczywistnił w tak szerokich granicach, jak bodaj żaden inny system polityczny na świecie. Otóż ta omnipotencja państwa nie da się absolutnie pogodzić z nauką katolicką, według której państwo w swej działalności ma zakreślone granice, których nie wolno mu przekraczać; w szczególności nie godzi mu się wdzierać w sferę działalności, zastrzeżoną dla innych społeczności, np. Kościoła lub rodziny. Dotyczy to zwłaszcza kwestii wychowania. Wszystkie rządy totalne pragną zagarnąć całe wychowanie w swoje ręce, a wpływy wychowawcze rodziny i Kościoła albo wykluczyć zupełnie, jak w Rosji sowieckiej, albo ograniczyć do minimum. Tymczasem Kościół przyznaje wprawdzie państwu poważną rolę wychowawczą, ale pierwszeństwo w tej dziedzinie zastrzega dla siebie i rodziny. Dalej monopolityczne tendencje odbiły się fatalnie na losach stowarzyszeń katolickich, nie tylko politycznych, lecz i apolitycznych. Szczególnie ucierpiały katolickie organizacje młodzieży i robotników, które wielokrotnie szykanowano i rozwiązywano (Włochy, Niemcy).

Drugi punkt sporny, to przesadny nacjonalizm, który wpada w kolizję zarówno z zasadami chrześcijańskiej miłości bliźniego, jak z międzynarodowym charakterem Kościoła katolickiego. Najbardziej jaskrawe formy przybrał ten nacjonalizm w hitleryzmie niemieckim, gdzie doszedł do bałwochwalczego wprost kultu krwi i rasy, wkraczając przy tym do dziedziny ściśle religijnej. To też w Niemczech doszło między Kościołem a rządami totalnymi do otwartej walki, która nie ustępuje zaciętością dawnemu *Kulturkampfowi* z czasów Bismarka.

Wreszcie obydwie doktryny ujmują odmiennie stosunek jednostki do państwa. Dla totalizmu państwo jest wszystkim, jednostka nie-

mal niczym. Jednostka to zwyczajne kółeczko w ogromnej maszynie, które istnieje i pracuje tylko dla tej maszyny, a samo przez się nie ma żadnego celu ani wartości. Tego rodzaju koncepcja poniża niesłychanie godność ludzką, a człowieka czyni istnym niewolnikiem państwowego moloha.

Inaczej zupełnie określa to zagadnienie nauka katolicka. Uznaje ona prymat interesu państwowego przed interesem indywidualnym jednostki, ale też nakłada na państwo obowiązek spełnienia pewnego minimum słusznych potrzeb jednostki, jak zapewnienie ochrony prawnej, bezpieczeństwa, umożliwienia egzystencji itd.; nadto zastrzega dla poszczególnego obywatela pewną sferę osobistych uprawnień, której państwu nie godzi się naruszać, jako to wolność sumienia, swoboda przekonań, posiadania itp. Jednostka wobec państwa nie jest tedy istotą bez praw i znaczenia, przeciwnie posiada ona wartość sama w sobie ze względu na swe wiekuiste przeznaczenie, podczas gdy państwo ma na oku wyłącznie cele doczesne, a istnieje tylko dla dobra swych obywateli, nie ma zaś celu samo w sobie, jak chce doktryna totalistyczna. Ta ostatnia znajduje się więc w jaskrawej sprzeczności z tzw. personalizmem chrześcijańskim, który dąży do możliwie pełnego rozwoju jednostki i dlatego broni jej własnych uprawnień, respektując zresztą całkowicie obowiązki jednostki wobec społeczności.

Jak widzimy zatem ,totalizm nie da się ideologicznie uzgodnić z katolicyzmem; przeciwieństwa są zanadto głębokie i nazbyt zasadnicze. Tak jest w teorii; w praktyce oczywiście stosunki wyglądają nieco inaczej. Z jednej strony Kościół musi się liczyć z faktem dokonanym istnienia szeregu państw totalnych, z którymi trzeba jakoś współżyć. Ta współpraca z totalnym reżimem wydaje się nieraz złem koniecznym, wzgl. mniejszym, zachodzi bowiem obawa, że w razie upadku systemu totalnego, przyjdą do głosu rządy skrajne lewicowe, albo nawet komunistyczne. Wreszcie współpraca z niektórymi państwami umiarkowanie totalnymi przynosi poważne korzyści dla religii i moralności; rządy tych państw (Włochy, oraz Austria i Portugalia, jeśli się je do państw totalnych zaliczy) nieraz okazują dobrą wolę i zdrowe dążności, czy to chodzi o walkę z wyuzdaniem moralnym wszelkiego rodzaju, czy o reformę stosunków społecznych, przestrzeganie praw religii itp. To też Kościół nie widzi potrzeby zrażać sobie przez bezwzględną opozycję ludzi, którzy mogą wiele dobrego zrobić dla sprawy Bożej. Z drugiej strony rządy totalne także wielokrotnie idą na kompromis, nie stawiają kropki nad i, nie wyciągają wszystkich praktycznych konsekwencyj z teoretycznych założeń swej ideologii, niektóre nawet, jak w Austrii i Portugalii, które zresztą nie mogą być zaliczone do ściśle totalnych, głoszą jawnie, że ich życie

społeczne ma być oparte na zasadach encyklik papieskich. Dzięki tym obustronnym ustępstwom stosunki między Kościołem a niektórymi państwami totalnymi układają się w praktyce poprawnie, a nawet przyjaźnie. Gdzie jednak rządy totalne pragną urzeczywistnić w całej pełni swe ideały, jak w Niemczech, tam musiał powstać poważny konflikt. To też cała współpraca między niektórymi państwami totalnymi i Kościołem opiera się na dość kruchej i niepewnej podstawie, tj. na dobrej woli polityków, stojących w tej chwili na czele danego państwa. W razie zmiany osób na naczelnych stanowiskach może przyjść inny kurs, nawet przy tym samym systemie rządów. Wiadomo np., że w włoskiej partii faszystowskiej nurtują silne tendencje antykościelne. Na razie one przycichły stłumione żelazną wolą Mussoliniego, czy jednak nie dojdą do głosu, gdy zabraknie obecnego dyktatora, to przyszłość dopiero okaże. W każdym razie poważne przeciwieństwa ideowe między katolicyzmem i totalizmem stanowią stałe niebezpieczeństwo, które zagraża losom Kościoła w państwach totalnych. Z tych wszystkich względów należy przestrzec opinię katolicką przed nazbyt gorącym entuzjazmowaniem się totalizmem, bo system ten bywa wprawdzie czasem w praktyce możliwym do przyjęcia, ale z katolickiego punktu widzenia nie zasługuje wcale na specjalne wyróżnianie, a tym bardziej na gloryfikację.

Dr Mieczysław Niwiński

O czem mówią i co piszą?

DO ABSURDU JUŻ DOSZŁO przestrzeganie Polski przed „naśladownictwem obcych wzorów“. Nic nie można powiedzieć, nic nie można zrobić, żeby się nie narazić na krzyk jakiegoś kibica, który do niczego więcej nie jest zdolny: ależ nie naśladujcie obcych wzorów!

Porzućmy więc logikę Arystotelesa i Św. Tomasza z Akwinu i współczesną „szkołę wiedeńską“. Wykreślmy z programów szkolnych i obejdźmy się w technice bez geometrii Euklidesowej. Spalmy książki, zawierające mechanikę Newtona i teorię Einsteina, prawo Archimedesa, prawo Gay-Lussaca, teorię Kanta — Laplace‘a twierdzenie Pitagorasa, wzór Herona i t. d. i t. d.

Wystarczy wziąć jakikolwiek podręcznik fizyki, matematyki, kosmografii, meteorologii, technologii, przyrody, towaroznawstwa, medycyny, kroju i szycia, hygieny, dietetyki, grafologii, muzyki, gry w szachy — i wystarczy przeczytać skorowidz nazwisk, ażeby się przekonać, coby nam pozostało, gdyby owładnęła nami naprawdę wzorofobia.

Trzeba by się wyrzec i druku i stereotypii, bo to wymyślili Niemcy. Trzebaby zaprzestać szczepień ochronnych, bo to odkrycie Pasteura. Należałoby wyeliminować świetne wzory angielskie z wychowania, włoskie — z buchalterii, amerykańskie — z organizacji fabrycznej, niemieckie z armii.

Cyfry mamy arabskie. Alfabet łaciński. Kalendarz gregoriański. Katechizm rzymski.

A co zrobimy z prawem rzymskim? Kodeksem Napoleona? Organizacją Kościoła i zakonów?

Wzory — wszędzie wzory obce...

Czym zastąpimy stal belgijską? Gruszki Bessemera? Piece Martenowskie? Silniki Diessla? Maszynę parową, tkacką, ba, prawie wszystkie maszyny, prawie wszystkie metody produkcji, hodowli, lecznictwa, systemy budownictwa i bankowości?

Rozpacz!

Zniechęcony do nauki, techniki i sztuki, gdzie naśladownictwo święci prawdziwe triumfy, idziesz człowieku na boisko sportowe, albo na przystań rzeczną, albo na salę gimnastyczną. Źle trafiłeś. Nic tu po tobie, wzorofobie. Wybieraj: boks, footbal, rugby, walka japońska, walka wolno-amerykańska, gimnastyka szwedzka, jachting, tenis, squiring... A może przejażdżka? Mamy tu pysznego araba, i jeszcze lepszego angloaraba... Nie? To trudno, trzeba zrezygnować ze sportu.

Znalazłeś się w restauracji, zasiadłeś przy stoliku, odetchnąłeś. Nareszcie jesteś w swojskim żywiole. Nikt cię nie posądzi o naśladownictwo w jedzeniu. Przynoszą kartę. Barszcz małorosyjski, sznycel po wiedeńsku, sałata włoska, jabłka w cieście francuskim...

Spotyka cię przyjaciel i podziwia twój „nieposzlakowany angielski garnitur“. W najwyższej pasji zamierzasz wyrzec się

wszelkiego przyodziewku. Tak, łatwo to powiedzieć. Ale nudyzm także nie w Polsce ma swoją ojczyznę.

Zaczynasz zwolna tracić zaufanie do całej kultury, jako że powstała w znacznej mierze dzięki naśladowaniu obczyzny. A gdyby tak wrócić do pierwotnego stanu do natury? Nic z tego, przyjacielu. Niema powrotu. Nie zechcesz chyba naśladować Jana Jakuba Rousseau.

A więc dość tego życia, gdzie każdy krok, każde słowo jest w dalszej lub bliższej genezie, w mniejszym lub większym stopniu — naśladownictwem. Lepiej nie żyć, zniknąć, rozpłynąć się w nicości... Ale i ta brzytwa wysuwa się z rąk tonącego w oceanie naśladownictwa, które nazywa się ludzką kulturą. Nawet Nirwanę wymyślili ludzie w dalekich i obcych Indiach...

Wobec tego posłuchajmy, co pisze p. Wincenty Dutkowski w nrze 6-m r. b. „Myśli Narodowej“:

> Dotychczas było wiadome każdemu, i uczonemu badaczowi dziejów kultury i pedagogowi i kaznodziei i zwykłemu szaremu człowiekowi, że bez naśladownictwa nie ma kultury, ani postępu; że przez naśladownictwo małe dziecię uczy się mowy i elementarnej wiedzy o życiu; że cały system kształcenia i wychowania młodzieży oparty jest w znacznej mierze na zasadzie naśladownictwa, że to zmysł ekonomii i naśladownictwa powoduje takie rzeczy, jak wymiana myśli w skali, że tak powiem, kameralnej *en deux* i w skali międzynarodowej, że wreszcie bez naśladownictwa nie do pomyślenia jest proces przekazywania dorobku kulturalnego z pokolenia na pokolenie, dziedziczenie kultury i jej pomnażanie. I tak długo, dopóki nie wynaleziono sztuki pisania, a więc dopóki możliwości naśladowania obcych wzorów były nader ograniczone, do tego czasu nie można było ani nawet marzyć choćby o takim rozkwicie i osiągnięciach nauki, jakich świadkami jesteśmy dzisiaj. Wiele jeszcze można powiedzieć w obronie i na chwałę naśladownictwa, a będą to niemal wyłącznie truizmy, tak dalece sprawa jest jasna. Tymczasem w prasie naszej naśladownictwo obcych wzorów — to *nomen odiosum*. Z naśladownictwa zrobiono ciężki zarzut, którym szafuje się z lekkim sercem i często z niezupełnie nawet szczerym przekonaniem, że w pewnych dziedzinach życia ludzkiego, a w polityce przedewszystkim, naśladownictwo wyklucza samodzielność myślenia i niezależność działania. A więc np. naśladownictwo w zakresie umiejętności budowania czołgów, konstrukcji samolotów, produkcji gazów trujących, albo

znowu naśladownictwo obcych wzorów, gdy chodzi o desenie tkanin i kroju sukien, czyli hołdowanie t. zw. modzie, to jeszcze ujdzie.

Ale korzystać z obcych doświadczeń w dziedzinie budownictwa państwowego, w szczególności w kwestii traktowania pewnej mniejszości narodowej, to dyskwalifikujący polityka i męża stanu brak samodzielności, to postępek, stawiający pod znakiem zapytania jego uczciwość polityczną, to czyn, uprawniający do insynuowania służebnej a nie bezinteresownej uległości wobec obcych agentur!

Takie właśnie opinie wsącza się kropla po kropli w naszą świadomość zbiorową i, należy przyznać, nie bez powodzenia. Pomału, pomalutku, zaczynają ludzie wstydzić się swego niby upośledzenia, to znaczy naturalnej skłonności do wykorzystywania cudzych szczęśliwych pomysłów i odkryć, i co krok gęsto się tłumaczą i dowodzą, że są w każdym calu samodzielni; gotowi są nawet na nowo proch wymyśleć i na nowo Amerykę odkryć, byle tylko uniknąć hańbiącego zarzutu naśladownictwa obcych wzorów. A przecież powinno być całkiem inaczej. Pod pręgierz i do odpowiedzialności powinni być pociągani raczej ci, co w służbie społeczeństwa nie kroczą najprostszą i najekonomiczniejszą drogą, mądre zaś, umiejętne naśladownictwo obcych wzorów powinno być tytułem do uznania i nagrody.

Sprawozdania i krytyki

DR. VACLAV KUBIĆEK, *„Katechetika“*, Ołomuniec 1937, Nakładem Matice cyrilometodejske, 8-o, str. 340, cena 23 kor.

Mamy przed sobą bardzo wartościową książkę. Walory jej ocenią najlepiej specjaliści ale nie jednemu i z naszych czytelników, odda *„Katechetyka“* Kubićka nieocenione usługi. Jest to bowiem prawdziwa encyklopedia katechetyczna. Zawiera ona materiał, uwzględniający program szkół powszechnych. Oprócz kilku specjalności, aktualnych tylko na terenie Czechosłowacji, wszystko inne ma wartość powszechną.

Materiał dzieli się na 6 rozdziałów. Rozdział I zawiera ustępy, traktujące o osobie nauczyciela religii, o szkole macierzyńskiej, o sposobie mówienia w szkole i t. p. Ciekawe momenty, które autor tu podkreśla — to rola warunków rodzinnych i lokalnych w nauce katechizmu. Specjalny nacisk kładzie Kubićek na kultywowanie właśnie tradycji rodzinnej przez prowadzenie archiwów domowych. (Por. Drzewo rodowe, wyd. przez Księg. św. Wojciecha). Jest to odtrutka na antytradycyjne dążności komunizmu.

Rozdział drugi (str. 59—143) wymienia zasadnicze postulaty dydak-

tyczne. Podkreśla więc wielkie znaczenie poglądowości w katechizowaniu. Dla ułatwienia tej pracy podaje kilkanaście wzorowych rysunków katechetycznych. Dalej rzuca autor szereg haseł: ucz pojmować, przemawiaj do serca, pomagaj zapamiętywć i w końcu wprowadzaj naukę w życie!

Katechezy dzielą się na biblijne, katechizmowe i dziejów Kościoła. (rozdz. III).

Czwarty rozdział uwzględnia osobiste potrzeby uczniów, które przy nauce trzeba uwzględnić, piąty zaś poświęcony jest ważnej sprawie karności szkolnej.

Ostatni wreszcie rozdział zawiera uwagi specjalne.

Całość materiału w „Katechetyce" jest ściśle z sobą powiązana przez systematyczny układ i odnośniki. Przy poszczególnych ustępach przytacza Kubićek mnóstwo odpowierniej literatury.

Książka omawiana zasługuje zupełnie na to, żeby się znalazła w bibliotece i w użyciu duchownych i świeckich katechetów. Język czeski, w którym jest pisana, nie stanowi przecież dla inteligencji polskiej większej trudności.

Jaszcz.

FRANTIŠEK SKACELIK, *„Venkovsky lekar"*, Praga 1937, „Vysehrad", 8-a, str. 311, cena opraw. 38 kor. czesk.

„Świat jest wszędzie taki sam!" Jak wszędzie bowiem, tak i w czeskiej mieścinie, która jest tłem akcji tej powieści, kilku ludzi dobrych, szlachetnych i patrzących na wszystko obiektywnie staje na przeciw przeważającej reszty zarozumiałych, zazdrosnych i intrygujących współobywateli. Zwycięża jednak, mimo chwilowej przewagi zawiści i przewrotności, chrześcijańska miłość bliźniego doktora Severa i Klary Urbach. Nie ostał się wobec niej nawet bezreligijny humanitaryzm w życiu społecznym, jaki propagował dyrektor Urbach.

Ivan Severa jest lekarzem wiejskim i wierzącym przy tym katolikiem. Wspaniały wzór dla korporacji lekarzy chrześcijańskich! Oddany jest bez reszty swym pacjentom. Do życia towarzyskiego pozwala się wciągnąć dopiero równie jak on ofiarnej Klarze. Po szeregu nieporozumień, spowodowanych zawiścią do dyrektora Urbacha ze strony gardłującej tylko opozycji miejskiej oraz złością inżyniera Korda, dochodzi do skutku szczęśliwe małżeństwo doktora z Urbachówną. Oboje zabierają się wnet nie tylko do leczenia ciał, ale i do naprawy stosunków gospodarczych i społecznych w okolicy Zimova.

Pierwszorzędnym tematem tej powieści jest rola lekarza wiejskiego w życiu społecznym. Jeśli jest to lekarz z powołania, bo do tego zawodu jak do stanu kapłańskiego trzeba mieć specjalne boże wezwanie, może on zrobić wśród ludzi wiele dobrego. *„Lekarz jest bliższy księdzu niż to chce przyznać"* (str. 18). *„Serce lekarza nie ma się zaspokoić nigdy samą tylko wiedzą"* (str. 23). Takie i tym podobne zdania wygłasza bohater lub

osoby doń zbliżone. Sam dr. Severa stwia swój stan bardzo wysoko. *„Medycyna nie jest na żarty!“* — z tymi słowy wyrzuca za drzwi inżyniera Korda, który chce jakiegoś środka nasennego dla spłatania komuś figla (str. 89).

W swejproblematyce przypomina *„Venkovsky lekarz“* Żeromskiego *„Ludzi bezdomnych“*, ale rozwiązanie w czeskiej powieści jest inne, pogodne i optymistyczne. Doktór Severa przystępuje do reform społecznych z wiarą. Judym, bohater Żeromskiego, jest raczej pozytywistycznym wolnomyślicielem i, co gniewa tak bardzo gimnazjastów i oburza pensjonarki, odrzuca miłość Joasi, żeby nie być skrępowanym w pracy społecznej. Bohater powieści Skacelika ma więcej zrozumienia dla zdania Sienkiewicza, wypowiedzianego zdaje się o Połanieckim: *„Najenergiczniejszy nawet człowiek potrzebuje, by go ktoś kochał. Inaczej czuje w sobie śmierć i jego energia zwraca się przeciw życiu.*

Miłą tę książeczkę polecamy w oryginale. Może zaś jakieś polskie wydawnictwo (tylko nie „Rój“!) obdarzy nas jej tłumaczeniem.

J. S.

Od Wydawnictwa

Zwracamy się z prośbą do wszystkich, którzy zalegają z prenumeratą „Pro Christo“ o możliwe szybkie uregulowanie zaległości, co będziemy uważali za wskazówkę, komu nasz miesięcznik nadal wysyłać.

Nr. marcowy „Pro Christo“ zamierzamy wydać w połowie marca; począwszy zaś od nru kwietniowego, będziemy wydawać pismo 1-go każdego miesiąca.

Wszelkie pretensje co do niedoręczania pisma we właściwym czasie, jakoteż i innych możliwych niedokładności prosimy niezwłocznie zgłaszać korespondencyjnie lub telefonicznie do administracji „Pro Christo“. Sprawy te będziemy załatwiać natychmiast.

Obecnie redakcja i administracja „Pro Christo“ mają adres wspólny: Warszawa 1, Moniuszki 3-a. Telefon 263-44. Redakcja jest czynna w poniedziałki i piątki w godzinach 16—19. Administracja jest czynna w tych samych godzinach w poniedziałki i środy.



Dokończenie art. p. J. Kaweckiego p. t. „Melpomene z kielnią“ zamieścimy w najbliższym n-rze.